

Wojciech Cesarz  
Katarzyna Terechowicz

WAKACJE  
GRZECZNEGO PSA



Katarzyna Terechowicz, Wojciech Cesarz  
**Wakacje grzecznego psa**

© by Katarzyna Terechowicz  
© by Wojciech Cesarz  
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:  
Joanna Rusinek

Korekta:  
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie III

**ISBN 978-83-7672-313-6**

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018  
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41  
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl  
tel. (42) 630-23-81  
[www.wydawnictwoliteratura.pl](http://www.wydawnictwoliteratura.pl)

Cześć, jestem Winter! Bardzo grzeczny, mądry i rozsądny pies! Moi przodkowie pochodzą z dalekiej, zimnej Alaski, gdzie jest mnóstwo śniegu i po lasach spacerują ogromne niedźwiedzie. Chciałbym kiedyś tam pojechać, chociaż za niedźwiedziami (podobnie jak za dzikami) raczej nie przepadam.

Za to uwielbiam chodzić na spacer, biegać po łące, gonić wiewiórki, tarzać się w śniegu, ryć nosem w ziemi, wpadać na trop leśnej zwierzyny, dostawać smakołyki i... mnóstwo innych rzeczy. Zima jest moją ulubioną porą roku, ale uwielbiam też wakacje, bo zawsze wyjeżdżamy w jakieś fajne miejsce z całym moim stadem – to znaczy Hanką, Henrykiem, Julią, Alkiem i Rudym. Mam z nimi co prawda drobne problemy wychowawcze, ale za bardzo się tym nie przejmuję, bo przekonałem się nie raz, że do ludzi (i do Rudego, który ma charakterek) trzeba mieć cierpliwość.

Właśnie zaczęło się lato. Był leniwy, lekko nudnawy poranek – wiał łagodny wiaterek, który przyjemnie łaskotał mnie w uszy. Ptaki plotkowały w zaroślach, a zza chmur przeświecały delikatne promienie słońca, grzejąc mnie w nos. Błogo rozleniwiony, wylegiwałem się na tarasie i sen owijał mnie rozkoszną, różową mgiełką, gdy nagle usłyszałem, jak Henryk z Hanką rozmawiają o wakacjach. Zerwałem się na cztery łapy i zastrzygłem uszami. Wakacje są fajne – to zapach ogniska, kielbaski pieczone na ruszcie, długie spacer, gonitwy po plaży, leśne rajdy, taplenie się w wodzie, tropienie ciekawych zapachów, nowe znajomości i inne pasjonujące sprawy. Nudzą mnie co prawda długie podróże w bagażniku kombi Henryka (który, między nami mówiąc, jest fatalnym kierowcą) – ale jak już przyjedziemy na miejsce, to szybko zapominam o tym dyskomforcie. Ciekawe, gdzie pojedziemy tym razem? Byłem już właściwie wszędzie – na wsi, nad morzem, nad jeziorami i w górach. I powiem wam, że wszędzie mi się podobało.

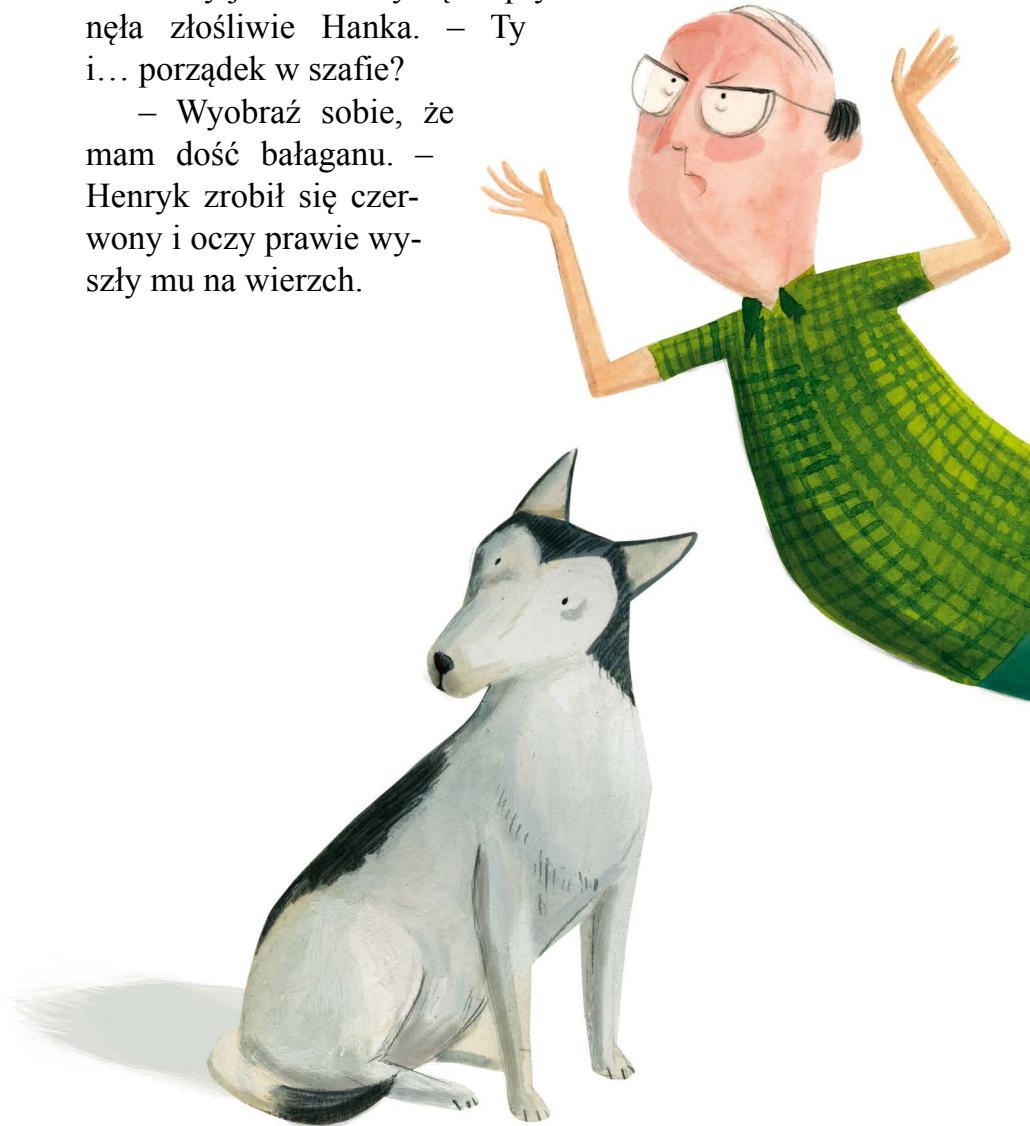
Pokłusowałem radośnie do domu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Wpadłem w sam środek awantury. Na środku salonu stał Henryk i groźnie wywijał gazetą. Henrykowi wydaje się, że jest głową rodziny i jest najważniejszy, ale chyba nie ma racji... (zgadnijcie sami, kto w naszym stadzie jest szefem).



– Tysiąc, milion razy mówiłem, że chcę jechać w góry! – wykrzykiwał Henryk do Hanki. – Ale jak wy chcecie nad jeziora, to proszę bardzo. Jedźcie sobie! Ja mogę nawet zostać w domu! Przynajmniej zrobię porządek w szafach i nadrobię zaległe lektury.

– Czy ja dobrze słyszę? – prychnęła złośliwie Hanka. – Ty i... porządek w szafie?

– Wyobraź sobie, że mam dość bałaganu. – Henryk zrobił się czerwony i oczy prawie wyszły mu na wierzch.



Podbiegłem do Henryka i przyjacielsko trąciłem go nosem, ale widocznie ten bałagan w szafach tak go zdenerwował, że nawet na mnie nie spojrzał.

– Obiecałam już dzieciom, że pojedziemy nad jeziora. Pamiętasz, że Alek miał się w tym roku uczyć pływać na desce? A Julia chciała się zapisać do szkoły żeglarskiej.

– Tak, oczywiście! Doskonale rozumiem, że ja się w tym domu zupełnie nie liczę. Czy ktoś mnie w ogóle pytał o zdanie? – zdenerwował się Henryk i usiadł w swoim fotelu z nosem w gazecie.

– Od kilku miesięcy marudzisz, że jesteś zmęczony i potrzebujesz urlopu, a teraz nagle nie chcesz jechać? To kompletnie niepoważne! – podniosła głos Hanka. – Przypominam ci, że dzieci zaczynają wakacje już za tydzień, a my nie mamy żadnego planu.

– Owszem, mamy – mruknął Henryk zza gazety. – Znam świetny pensjonat w górach.

Wtedy z kolei Hanka zrobiła się czerwona i znów zaczęła się bardzo głośna dyskusja. Zupełnie nie miałem ochoty słuchać tych krzyków, więc wróciłem do ogrodu i dokładnie sprawdziłem teren wokół ogrodzenia. Nic podejrzanego się nie działo, wokół panowała cisza, tylko z okien naszego domu dobiegały podniesione głosy Henryka i Hanki. Położyłem się w cieniu, pod jabłonką. Ciekawe, gdzie w końcu pojedziemy na te wakacje? Bo jeśli o mnie chodzi, to nie wybrzydzą i zgadzam się na wszystko, ponieważ (jak już wiecie), jestem bardzo grzecznym i rozsądnym psem.

# Bestia atakuje

Przez kilka następnych dni atmosfera w domu była napięta, trwały ożywione dyskusje, a ja nie mogłem się połapać – jedziemy w góry czy nad jeziora? Nie po raz pierwszy ludzie zaskakiwali mnie swoim dziwnym zachowaniem... no bo co to za problem? Przecież można pojechać nad jeziora, a potem w góry. Albo najpierw w góry, a potem nad jeziora. Albo po prostu nad morze. Chętnie bym się z nimi podzielił swoją mądrością, ale jak zwykle nikt mnie nie spytał o zdanie. No i zamiast się cieszyć (co potrafi każdy normalny pies) – wszyscy chodzili podenerwowani i skwaszeni. Ja na przykład zawsze jestem zadowolony (oczywiście pod warunkiem, że moja miska jest pełna i trafi mi się jakiś długi, porządny spacer). Uwierzcie mi, że też mam swoje powody do narzekania, bo z ludźmi bywa czasem naprawdę ciężko. Ale ja coś dam radę... Zwykle mam dobry humor i nie kręcę nosem na drobne niedogodności.

Wreszcie nadszedł długo wyczekiwany dzień wyjazdu. Umknęło mojej uwadze, dokąd w końcu jedziemy, bo ostatnio byłem dość zajęty – kilka, albo kilkanaście razy dziennie musiałem sprawdzać, czy nikt niepowołany nie obsikał naszego ogrodu, dyscyplinowałem Rudego,



który od pewnego czasu mocno się rozzuchwalił – wszędzie się pchał, wlaził mi pod łapy i jazgotał nad uchem... Poza tym pilnowałem swojej miski, czy nie pojawiło się w niej nic ciekawego, prowadziłem długie dyskusje z psami, a szczególnie jednym bernardynem z sąsiedztwa, słowem – miałem łapy pełne roboty.

Od samego rana w domu panował nieopisany wprost rozgardiasz. Wszyscy nerwowo biegali tam i z powrotem, szukając różnych niezbędnych do wyjazdu rzeczy. Ja spokojnie leżałem na środku salonu, czekając na poranny spacer. Tak, do ludzi trzeba mieć cierpliwość, mnóstwo cierpliwości. W pewnym momencie przez salon przekłusował Henryk – zerwałem się i pomachałem zachęcająco ogonem, żeby mu przypomnieć o spacerze, ale wyminął mnie zgrabnie, krzycząc rozdzierającym głosem:

– Gdzie są leżaki? Czy ktoś nie widział leżaków?!





– Po co ci leżaki? – zdziwiła się Hanka. – Na pewno będą na miejscu.

– A jak nie będą? – zmartwił się Henryk.

– To będziesz leżał na kocu na trawie.

Henryk mruknął coś niezrozumiale pod nosem i pogalopował do garażu. Potem przez salon przeleciał Alek, który szukał jakichś płetw, a z kolei Julia narzekała, że nie może znaleźć kostiumu kąpielowego. W salonie powoli piętrzył się stos rzeczy do zapakowania. Miałem poważne wątpliwości, czy to wszystko da się upchnąć do kombi Henryka, ale... to w końcu nie mój problem.



Zajrzałem na wszelki wypadek do swojej miski, ale wciąż pozostawała pusta. Byłem lekko oburzony, więc trąciłem ją kilka razy nosem, robiąc przy tym sporo hałasu.

– Winterku, przestań, głowa mi pęka – mruknęła Hanka i podrapała mnie za uchem. – Henryku, czy jesteś spakowany?

– Phi! – prychnął Henryk. – Co to za pytanie? Jak byłem w harcerstwie, to pakowałem się w siedem minut i trzydzieści sekund.

– Siedem minut? – Hanka spojrzała na Henryka jakoś tak dziwnie. – Jak jesteś spakowany, to idź z Winterem na spacer.

– Ale... – zaczął Henryk i nie dokończył.

Poszliśmy na spacer bez Rudego. Rudy, jak przed każdym wyjazdem – od rana siedział w bagażniku (zawsze się boi, że o nim zapomną) i żadna siła nie była w stanie go stamtąd ruszyć. To się chyba nazywa nerwica, czy jakoś podobnie – słyszałem, jak Hanka rozmawiała o tym z weterynarzem.

Snuliśmy się z Henrykiem po parku, gdzie było pełno nęcących zapachów, gdy nagle z krzaków wyskoczył z przeraźliwym warkotem jakiś pinczer wielkości notebooka. Spojrzałem na niego zdumiony, ponieważ ta imitacja psa wyraźnie szykowała się do ataku. Rozejrzałem się dookoła – byłem ciekaw, kogo ten wściekły pinczerek ma zamiar ugryźć. Ale nikogo w pobliżu nie było. Chyba nie chce się rzucić na Henryka?

Moje rozmyślania przerwał gwałtowny ryk, a raczej pisk – brzmiało to tak, jakby ktoś włączył wiertarkę cho-

rażę na anginę i poczułem, jak ktoś wbija szpilki w mój... no wiecie. To, na czym siadam. Odwróciłem się i zobaczyłem pinczerka wczepionego ostrymi jak igły zębami w mój zad. Ze zdumienia zaparło mi dech, ale tylko na chwilę. Zaraz potem zaryczałem z takim oburzeniem, że Henrykowi spadły z nosa okulary słoneczne, po czym pacnąłem pinczera łapą. Pokoziółkował w krzaki.

Jak spod ziemi wyrósł przed nami niewysoki pan w kolorowej czapeczce i z parasolem słonecznym.

– Co tu się dzieje?! – zaczął się wydierać pan z parasolem. – Gdzie mój piesek? Bestia, Bestia!

– Jaka bestia? To mój malamut, bardzo spokojny i zrównoważony pies. – Urażony Henryk wyprostował się z godnością. – Winter rzeczywiście jest bardzo duży, ale nazywanie go bestią...

– Bestia to imię mojego pieska – przerwał Henrykowi pan z parasolem. – To trzykrotny zwycięzca okręgowej wystawy w klasie weteranów. Czy pan zdaje sobie sprawę, jakie mój pies ma pochodzenie? – nadął się pan z parasolem.

– Nie. A jakie, jeśli można spytać? – zdziwił się Henryk.

Pan z parasolem rozejrzał się nerwowo dookoła, potem podszedł do Henryka i wyszeptał mu coś do ucha.

– Nie, niemożliwe. Naprawdę? – wydukał Henryk, kompletnie skołowany. – Pan chyba żartuje?

– Ja nigdy nie żartuję! – obraził się pan z parasolem.

Z krzaków dobiegł złowrogi warkot i po chwili wyłonił się z nich pinczerka z błyskiem w oku i myszką w pysku.

– Bravo! Moja Bestyjka znowu coś upolowała? To pies myśliwski, poluje jak szalony – oświadczył z dumą pan z parasolem.

Zjeżyłem się trochę, bo ten przylizany pinczerek dziwnie działał mi na nerwy. Właściciel Bestii łypnął na mnie pogardliwie.

– Co ten pana misiaczek taki nerwowy? – rzucił do Henryka. – Chyba nie przestraszył się mojego pieska? Spokojnie, nic mu nie grozi. Jego zadek jest bezpieczny, hi, hi – zarechotał skrzekliwie.

Henryk zrobił się czerwony i głośno przełknął ślinę, ale nic nie powiedział. Nagle myszka wyskoczyła z pyska Bestii i zniknęła w trawie. Pinczerek wściekł się i zaczął biegać w kółko, robiąc przy tym potworny jazgot.

– Bierz, poluj! Łapaj myszę! Aport! – zapiszczał pan z parasolem.

Ale pinczerek, zamiast gonić za myszą – nagle stracił animusz. Staął na rozstawionych łapach i spojrzał na pana zdezorientowany.

– Gdzie twoja ambicja? – oburzył się właściciel Bestii. – Bierz, poluj!

– Nie szkoda tej małej myszki? – wtrącił nieśmiało Henryk.

– Co proszę? – zdziwił się pan z parasolem. – To zew natury, kodeks dżungli. Silniejszy przetrwa, silniejszy! W świecie przyrody nie rządzą sentymenty, tylko kły, proszę pana!

Pinczerek szczechnął krótko, a pan z parasolem ryknął piskliwie.

– Bierz! Poluj! Łapaj myszę!

Pinczerek, zdezorientowany, rozejrzał się wokół (najwyraźniej szukając obiektu do upolowania), a potem nagle, bez ostrzeżenia, rzucił się w moim kierunku, szczerząc te swoje kielki. Ciekawe skąd ten pomysł? Chyba nie przypominam wyglądem myszy? Tym razem nie czekałem, aż Bestia wbije zęby w mój zadek albo gdzie indziej. Ostrzegawczo ryknąłem i lekko pacnąłem go łapą. Pinczerek poleciał w krzaki i zaczął skowytać tak, jakby co najmniej obdzierali go ze skóry.

– Taki duży atakuje takiego małego? – krzyknął z oburzeniem właściciel Bestii i ruszył na mnie z parasolem. – Co za paskudne bydlę!

– Wydaje mi się, że to pana piesek zaatakował mojego, a mój się tylko bronił – tłumaczył zakłopotany Henryk. – Poza tym nic się nikomu nie stało. To tylko prawo dżungli, o którym pan wspomniał.

Pan z parasolem zrobił się czerwony i naskoczył na Henryka.

– To się tak nie skończy! Ja pana zaskarżę, zażądam odszkodowania! Trzeba uspić tego agresywnego kundla! – wrzasnął i pokazał na mnie. – Dzwonię po policję!

Henryk próbował przekrzyknąć pana z parasolem, ale ten nie dopuszczał go do głosu. Ziewnąłem szeroko, bo zaczynało się robić nudno. To ma być spacer? Szarpnąłem smyczą.

– Miło się rozmawiało i mam nadzieję, że się więcej nie spotkamy – wymamrotał Henryk do właściciela Bestii, który gorączkowo szukał telefonu po kieszeniach.

Ruszyliśmy dalej i wtedy zobaczyłem patrol straży miejskiej prowadzony przez jakąś panią z rozczochranym golden retrieverem na smyczy. Pani tłumaczyła coś strażnikom, pokazując na nas. Szli szybko w naszym kierunku.

– Dzień dobry, co tu się dzieje? – spytał jeden ze strażników.

– W samą porę panowie przyszli – oświadczył właściciel Bestii. – Przed chwilą doszło do napaści i to jest sprawca! – triumfalnie wycelował we mnie parasolem.

Wszyscy spojrzeli na mnie, więc na wszelki wypadek przyjacielsko pomachałem do nich ogonem.

– A tamten typ – pokazał na Henryka – chciał uciec z miejsca przestępstwa.



Wszyscy odwrócili głowy w stronę Henryka, który zbladł i lekko się przygarbił.

– To jakieś nieporozumienie... – zaczął zakłopotany Henryk, ale w tym momencie właścicielka golden retrievera zauważyła przycupniętego w krzakach pinczera i wzdrygnęła się nerwowo.

– O, tam jest ten potwór! – krzyknęła. – Przegryzł ucho mojemu pieskowi!

– Ten w krzakach? Jest pani pewna? – zdziwił się strażnik.

– Na sto procent! – oświadczyła pani. – Zresztą poznaję też jego właściciela. Wyjątkowo niesympatyczny osobnik!

Strażnik podszedł do pana z parasolką, odchrząknął i spytał oficjalnym tonem:

– Czy przyznaje się pan, że pana pies ugryzł tamtego w ucho? – pokazał na goldena.

– Chyba pan żartuje! – oburzył się pan z parasolką. – Moja Bestia, to znaczy, mój malutki piesek, nigdy by tego nie zrobił. Niech pan na niego spojrzy, jaki milusi. Łagodny jak myszka.

Strażnik spojrział na Bestię podejrzliwie – zjeżony pinczerek powarkiwał wściekle, szczerząc kielki i szykując się do ataku.

– Mówi pan, że spokojny jak myszka? Mamy tu inne zeznania – oświadczył surowo strażnik.

– Czy pan wie, z kim ma do czynienia? – prychnął pogardliwie pan z parasolką. – Jakie mój pies ma w ogóle pochodzenie?

Strażnik nie wiedział, więc pan z parasolem szepnął mu coś do ucha.

– Co mi pan tu za bzdury opowiada? – obruszył się strażnik. – Poproszę dokumenty i świadectwo szczepienia psa przeciw wścieklicznie.

– Słucham? – zaperzył się pan z parasolem.

– Mam powtórzyć w jakimś innym języku? – zdenerwował się strażnik.

– Ale po co? Dlaczego? – oburzył się właściciel Bestii.

– Widzę, że szuka pan kłopotów – do rozmowy włączył się drugi strażnik.

Gdy wróciliśmy do domu, w progu czekała na nas zdenerwowana Hanka.

– Gdzie byliście tak długo? I dlaczego nie wzięłeś telefonu? – gderwała. – Można z wami zwariować, przecież mieliśmy dzisiaj jechać.

– Wintera zaatakował pies – oświadczył Henryk.

– Jest pogryziony, ranny? – przestraszyła się Hanka.

– Nie, bo to była miniatuurka psa, ale wiesz, dziwna sprawa, bo podobno... – zaplątał się Henryk.

– Co podobno?

– No podobno ten pies pochodzi w prostej linii od...

– urwał Henryk i zrobił dziwną minę.

– Od kogo? Powiesz wreszcie?

– Od... – Henryk się zawahał, a potem dokończył niepewnie – ...od kota faraona Tutenchamona.

Hanka spojrzała na Henryka, a potem zaczęła chichotać i tarzać się ze śmiechu.



– Większej bzdury dawno nie słyszałam – wykrztusiła z trudem. – Chyba w to nie wierzysz?

– Oczywiście, że nie wierzę... powiedziałem to jako ciekawostkę – wzruszył ramionami Henryk.

A potem rozpadał się deszcz i Henryk zarządził, że wyjedziemy następnego dnia o świcie. Poszedłem do kąpika pod schodami i uciałem sobie drzemkę.

Jak to mają być wakacje, to ja dziękuję!

